

Cezary RITTER

## CO SŁYCHAĆ W POLSCE?

W Polsce w roku 2010 słycać muzykę Chopina. Tym bardziej słycać ją teraz, na przełomie lutego i marca – w czasie, gdy piszę niniejszy tekst. Wskutek bowiem pewnego zamieszania wokół dnia urodzin kompozytora, obchodzimy je – urodziny, nie zamieszanie – od 22 lutego do 1 marca. A ponieważ w tym roku przypadają dwusetne urodziny, obchody są nader rozbudowane i okazałe. W Warszawie przygotowano nadzwyczajne koncerty urodzinowe z udziałem znakomitych pianistów: Rafała Blechacza, Garricka Ohlssona, Yevgenija Kissina, Daniela Barenboima i wielu innych. Jak zauważył jeden z krytyków muzycznych, Warszawa na chwilę urosła do rangi wielkiej muzycznej metropolii, bo oto jednego dnia wystąpiło w niej dwóch światowej sławy pianistów: Murray Perahia i Piotr Anderszewski. O takich rzeczach słyszeliśmy, że zdarzają się w Nowym Jorku, Londynie czy w Wiedniu, a teraz, proszę: w Warszawie. Jedynie – poniekąd zgodnie z przewidywaniami – Krystian Zimerman nie przyjechał, a Martha Argerich odwołała swój występ. No, ale nasi krytycy śledzą wielkiego pianistę zarówno w Rzymie, jak i w Londynie, zaś minister kultury odwiedził go w mediolańskiej La Scali i wręczył mu – ku ich obopólnemu wzruszeniu – order Gloria Artis. Co do Marthy Argerich, to nie wiem, czy gra obecnie Chopina i czy ktoś z naszych dziennikarzy ją śledzi.

Jeśli akurat nie jesteśmy w Warszawie, możemy ze wspomnianych koncertów słycać radiowych i telewizyjnych transmisji. Zresztą, nie ma chyba filharmonii czy szkoły muzycznej w Polsce, która by w tych dniach nie organizowała urodzinowych koncertów, festiwali czy wystaw dedykowanych wielkiemu Fryderykowi.

Nie tylko teraz, gdy piszę te słowa, słycać w Polsce muzykę Chopina. Będzie ją słycać również wtedy, gdy niniejszy numer „Ethosu” dotrze do rąk Czytelnika. W sierpniu – i będzie to trwało cały miesiąc! – przetoczy się przez stolicę festiwal „Chopin i jego Europa” (od kilku lat organizowany z wielkim rozmachem, w tym roku – z podwójnym), a w październiku czeka nas Międzynarodowy Konkurs Chopinowski ze wszystkimi związanymi z nim narodowymi emocjami, tudzież z obawami przed zalewem młodych pianistów z Azji, które to obawy żywił już swego czasu nieodżałowany Jan Weber. A to przecież tylko te bardziej spektakularne przykłady wydarzeń Roku Chopinowskiego w Polsce.

Jak na tę całoroczną „chopiniadę”, to jej bohater skomponował względnie niewiele. Dwa koncerty, cztery sonaty (w tym dwie rzadziej grane: jedna na fortepian i wiolonczelę, druga, uważana za zbyt jeszcze szkolną, niemal niegrana – choć ostatnio słycałem ją w wykonaniu Philippa Giussano), cztery scherza, cztery ballady, dwadzie-



ścia cztery preludia i tyleż etiud (no, z jakimiś – jak to się dziś mówi – „bonusami”), garść nokturnów, o walcach i mazurkach nie zapominając. No i oczywiście – polonezy! Jeszcze można coś do tego dodać, ale już nie tak wiele. W porównaniu ze spuścizną innych kompozytorów, nie jest to ilość pokaźna; jak nawet ktoś zauważył: to zaledwie naporstek wobec morza muzyki tworzonej przez kolegów po fachu. Liczy się jednak jakość, nie ilość! Sam Chopin zadbał o to, żeby niektóre kompozycje nie przetrwały... Ciekawe, co on sam powiedziałby na to wszystko, co się wokół niego i jego muzyki obecnie dzieje. Przecież sam koncertował niezwykle rzadko. Gdy mieszkał w Paryżu, wypadało to statystycznie raz na rok. Teraz koncert goni koncert. Zagranicznej orkiestrze, która przyjedzie w tym roku do Polski niemal *ex definitione* „grozi” to, że będzie towarzyszyć soliście w jednym z dwóch koncertów fortepianowych naszego kompozytora. Efekt czasem bywa taki, że w chopinowskich kompozycjach zespoły te wypadają mniej przekonująco niż w pozostałym repertuarze. Prawdopodobnie dlatego, że koncerty Chopina musiały one przygotować specjalnie na przyjazd do Polski, podczas gdy inne utwory znajdowały się w ich repertuarze od dawna.

Nie należy jednak narzekać z powodu drobiazgów. Rok Chopinowski niesie nam naprawdę wiele ważnych wydarzeń, dostarcza pięknych i głębokich przeżyć. Ukazują się mądre i ciekawe książki, wychodzą nowe nagrania, wznawiane są stare; zaplanowano kilka doniosłych sympozjów naukowych, a niektóre koncerty są po prostu porywające (czego sam doświadczyłem w sali Filharmonii Narodowej dzięki Andrzeja Schiffa interpretacji preludiów i fug Jana Sebastiana Bacha oraz preludiów Chopina). Ponadto na nowo otwarło swe podwoje Muzeum Fryderyka Chopina na warszawskiej Tamce, a sformułowanie „na nowo” w tym przypadku wiele znaczy; podobno jest to najnowocześniejsze muzeum biograficzne w Europie i – jak już orzekli niektórzy dziennikarze – będzie ono najtrwalszą pamiątką po jubileuszowym Roku Chopinowskim.

Kiedy jednak mówimy, że tych wszystkich przeżyć i wrażeń Rok Chopinowski dostarcza nam, to zastanówmy się: właściwie komu? Chciałoby się powiedzieć – nam, współcześnie żyjącym Polakom, owym Norwidowym „późnym wnukom”, co to mają się cieszyć, że „ideal sięgnął bruku”.

Tutaj mamy pewien mały – a może wcale nie tak mały? – problem. Owszem, w wielu miejscach sale koncertowe podczas koncertów są wypełnione po brzegi. Czytałem niedawno, że do siedziby Stowarzyszenia Wspólnota Polska przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie – gdzie każdy, kto jako tako biegle jest w klawiaturze, może zagrać coś z chopinowskiego repertuaru – walą tłumy: jedni by grać, inni by przy dźwiękach żywej muzyki spędzić trochę czasu. Urodzinowym imprezom chopinowskim towarzyszy rozmach i rzesze melomanów.

Jednak właśnie przy okazji jubileuszu naszego największego kompozytora kilka ośrodków badawczych przeprowadziło ankiety dotyczące stanu wiedzy i świadomości muzycznej (w szczególności „chopinowskiej”) współczesnych Polaków. Co z nich wynika? Cóż, chyba możemy o nas samych powtórzyć za piosenką, którą śpiewali niegdyś Skaldowie: „Ludzie, co nie odróżniali La Palomy od La Scali...” Pomińmy to, że ktoś z ankietowanych podał Stalową Wolę jako miejsce urodzenia kompozytora. Nasza niewiedza i – chyba możemy tak powiedzieć – niemuzyczność okazuje się znacznie szersza i głębsza. Niech nas nie zmylą pełne sale na wspomnianych urodzinowych koncertach. Ile osób pomieści sala Filharmonii Narodowej czy nawet Teatru Wielkiego? I jak to się ma do liczby mieszkańców stolicy? Chodzi jednak nie tylko – i nie przede wszystkim – o to, jak wielu z nas odwiedza sale filharmonii.



W radiowej Dwójce słuchałem niedawno audycji poświęconej Chopinowi z udziałem dyrektora Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina, Andrzeja Sułka oraz słuchaczy dzwoniących do studia w Warszawie z różnych stron Polski. Zadzwoiła pewna pani, nauczycielka w małej miejscowości gdzieś w Borach Tucholskich, i bardzo nieśmiało przypomniała, że jakiś czas temu ktoś ważny i kompetentny – być może był to sam minister kultury – obiecywał, że w Roku Chopinowskim komplet nagrań z muzyką Chopina trafi do wszystkich szkół w Polsce (sam już nie wiem, czy chodziło naprawdę o wszystkie szkoły, czy tylko o szkoły muzyczne?). Jeszcze bardziej nieśmiało zapytała, co z tą obietnicą, bo właśnie mamy Rok Chopinowski, a w Bory Tucholskie nic nie dotarło. Dyrektor NIFC-u przytomnie wtedy zareklamował serię płytową „Real Chopin”, zapomniał jednak dodać, że jedna płyta z tej serii kosztuje pięćdziesiąt złotych i nie powiedział, kto miałby za ich zakup do szkół zapłacić, bo szkoły chyba nie...

Tak się składa, że dziś najważniejszym mecenasem kultury jest państwo – nie tylko w Polsce, gdzie mecenat prywatny wciąż nie jest zbyt mocno rozwinięty, ale i w krajach zamożniejszych, zwłaszcza europejskich. Co więcej, kultura – podobnie jak historia – staje się dzisiaj elementem polityki i dyplomacji prowadzonej przez państwo. Prezydent Lech Kaczyński, otwierając Muzeum Fryderyka Chopina porównał je do Muzeum Powstania Warszawskiego, obydwie placówki bowiem wpisują się w nurt polskiej „polityki historycznej”. W podobnym tonie wypowiada się wielu innych jubileuszowych mówców „od ministra w dół”: Chopin to nasz ambasador, nasze logo w świecie. A ponieważ „logo” jest trochę francuskie, dlatego trzeba stale dbać, żeby się kojarzyło z Warszawą, a nie z Paryżem – taką myśl też usłyszałem.

To bardzo ładnie, tylko co wtedy, gdy się okaże, że w Borach Tucholskich niewiele już o Chopinie słyszało, nie mówiąc o tym, że jeszcze mniej jest tych, którzy słyszeli jego muzykę? Nie jest to nierealne po tym, jak wychowanie muzyczne, na życzenie państwowego mecenasa, bo przecież ministerialnymi decyzjami, praktycznie wyrugowano ze szkół (moja córka przeszła obowiązkową edukację szkolną do matury praktycznie bez wychowania muzycznego) i zdaje się, że nawet Rok Chopinowski nie może sprawić, aby wróciło ono na swoje miejsce. Tak, na „swoje miejsce”, bo szkoła jest właściwym miejscem wychowania muzycznego. Starożytni myśliciele, z których dziedzictwa podobno w Unii Europejskiej czerpiemy, uważali nawet, że jest ono jednym z głównych elementów edukacji młodego człowieka. Ba! Od tego, jaka jest muzyka w państwie, uzależniali wręcz jego stan i siłę. Jak to bliżej rozumieli? To już może postudiujmy – „od ministra w dół” – stosowne dzieła Platona i innych autorów.

Warto się może zastanowić, jaką muzykę słyszać w Polsce w 2010 roku, nie tyle w Warszawie, podczas stołecznych obchodów chopinowskich, ile raczej w Borach Tucholskich. Może urodziny Fryderyka Chopina najlepiej uczcimy wtedy, gdy po prostu muzyce i muzycznemu wychowaniu damy odpowiednie miejsce wszędzie tam, gdzie wychowanie na co dzień się odbywa.